

Przekleństwo 1709 roku

Bo nauzką, jaką Polacy wyciągnęli z dziejów od 1709 roku, jest to, że w określonym czasie i przestrzeni historia prędzej czy później organizuje sesję egzaminacyjną i odpytuje z tego, co zostało przyswojone. I biada tym, którzy lekcji nie odrobili. Być może jest to polski fatalizm, być może polska przesada, ale to jeden z podstawowych elementów myślenia Polaków o polityce i historii - przeczytaj esej o polskiej podmiotowości, autorstwa prof. Dariusza Gawina, który ukazał się w 5. numerze Teologii Politycznej "Złoty róg, czyli nieodzyskana podmiotowość" [<http://www.teologiapolityczna.pl/w-najnowszym-numerze>]



Bo nauzką, jaką Polacy wyciągnęli z dziejów od 1709 roku, jest to, że w określonym czasie i przestrzeni historia prędzej czy później organizuje sesję egzaminacyjną i odpytuje z tego, co zostało przyswojone. I biada

tym, którzy lekcji nie odrobili. Być może jest to polski fatalizm, być może polska przesada, ale to jeden z podstawowych elementów myślenia Polaków o polityce i historii - przeczytaj esej o polskiej podmiotowości, autorstwa prof. Dariusza Gawina, który ukazał się w 5. numerze Teologii Politycznej "Złoty róg, czyli nieodzyskana podmiotowość"

Przekleństwo 1709 roku. Czy Polacy mogą wybić się na podmiotowość?

Czy nie za rzadko zastanawiamy się nad polskim usytuowaniem w czasie i przestrzeni? Nad tym specyficznym miejscem na mapie Europy, które jest tłem dyskusji na temat powstań, wojen, Solidarności i pytań o polską tożsamość.

Być może zachęty do takich rozważań na temat naszego poczucia trwałości polskiej pozycji w Europie winny dostarczać nam słowa naszego hymnu narodowego. Przecież śpiewamy w nim, że „jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy”, a później: „przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, będziemy Polakami”. W tych kilku słowach zawiera się kluczowa dla myśli republikańskiej polityczna koncepcja narodu. Polakami jesteśmy o tyle, o ile mamy państwo, które chroni interesy wspólnoty politycznej, wspólnoty, w ramach której możemy funkcjonować jako Polacy. Te słowa powstawały na granicy epok, między I Rzeczpospolitą a XIX wiekiem z jego - z jednej strony - romantycznym rozumieniem narodu jako wspólnoty kultury, która może istnieć także bez państwa, a z drugiej - nowoczesnym nacjonalizmem, który widział w narodzie wspólnotę przede wszystkim o charakterze etnicznym.

W refleksji nad polską tożsamością istnieje zatem od ponad dwustu lat milcząco przyjmowane założenie, iż trwałym elementem naszej sytuacji, naszego losu jest pewien zespół okoliczności historycznych, geopolitycznych i kulturowych, który można określić mianem „prześwitu ontologicznego”. Chodzi o to, że Polska jest, ale może jej nie być, że może ona „zginąć”, przestać istnieć. Na pozór wydaje się to przesadą i często taki rodzaj dyspozycji mentalnej, charakterystyczny dla Polaków, kładzie się na karb naszej skłonności do egzaltacji. Gdy jednak przyjrzymy się bliżej historii narodu w okresie, który rozpoczął się rzezią Pragi, a który sto pięćdziesiąt lat później znalazł swoją kulminację w Katyniu i Powstaniu Warszawskim, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że właśnie taki był motyw przewodni przeważającej części dziejów Polski w wieku XIX i XX. Czym bowiem było Powstanie Warszawskie, jeśli nie najbardziej dramatycznym potwierdzeniem wagi problemu istnienia i nieistnienia w polskiej historii?

Powstanie Warszawskie przychodzi na myśl w tym kontekście, bo to nie było tylko kolejne przegrane wystąpienie zbrojne Polaków. Jako jedyna zbiorowość spośród wszystkich europejskich narodów zbliżyliśmy się wówczas do granicy, którą w czasie ostatniej wojny przekroczyli tylko Żydzi. Warszawa to przypadek miasta starożytnego, które - jak Melos czy Kartagina - zostało unicestwione w wymiarze politycznym, ludzkim i fizycznym. Osobisty rozkaz Hitlera o zburzeniu Warszawy pozostaje bez analogii w najnowszej historii i odsyła nas do zdarzeń z historii starożytnej. W tym sensie powstańcza Warszawa to wspólnota polityczna - wspólnota obywatelska, posiadająca również organicznie związany z wymiarem obywatelskim wymiar militarny i polityczny. W Warszawie oprócz Armii Krajowej ujawniły się bowiem również cywilne władze Państwa Podziemnego, wsparte spontanicznie przez setki tysięcy mieszkańców stolicy. W granicach zakreślonych przez

powstańcze barykady istniało *de facto* - choć w czasach PRL nie wolno nam było tak o tym myśleć - wolne państwo polskie, wolna III Rzeczpospolita, bo tak przecież właśnie nazywalibyśmy twór, który objawił się 1 sierpnia w stolicy, gdyby historia potoczyła się inaczej.

Od czasów antycznych filozofowie polityki wiedzieli też, że spektrum ludzkiego świata zawiera się pomiędzy dwiema skrajnościami - wolnością a tyranią. Zbrodnia Warszawy polegała na tym, że - jak mówił w transmitowanym ze stolicy przemówieniu radiowym delegat rządu na kraj, Jan Stanisław Jankowski-Soból - „chcieliśmy być wolni i wolność sobie samym zawdzięczać”. Zetknięcie idei wolności z dwoma totalitaryzmami musiało doprowadzić do eksplozji, w której Warszawa nie tyle przegrała Powstanie, ile po prostu przestała istnieć. Los Warszawy w 1944 roku nie tłumaczy się tylko naszym położeniem geopolitycznym. Nie chodzi tutaj wyłącznie o usytuowanie kraju między Niemcami i Rosją, choć naturalnie ten aspekt naszej sytuacji cały czas jest istotny (niezależnie od poprawności politycznej, wywierającej nacisk na naszą debatę publiczną, zawsze należy podkreślać ten prosty fakt, że Polska leży między Rosją i Niemcami, a nasze relacje z bezpośrednimi sąsiadami na wschodzie - takimi jak na przykład Ukraina - są funkcją tej prostej konstatacji). Chodzi przede wszystkim o to, że Polska od dwóch-trzech stuleci leży na przecięciu potężnych wektorów działających w skali powszechnodziejowej. W tej perspektywie „Niemcy” i „Rosja” to nie tylko nazwy dwóch mocarstw, które wpłynęły na kształt geopolitycznego porządku świata w XX wieku. Są to pewne skrótowe nazwy na określenie dwóch wielkich kultur europejskich, w których zrodziły się dwa najstraszliwsze totalitaryzmy w najnowszej historii. Pierwsza wojna światowa, rewolucja bolszewicka jako konsekwencja załamania caratu, narodziny nazizmu jako niemiecka odpowiedź na klęskę, totalitarna inżynieria Stalina i Hitlera, ludobójstwo jako instrument uprawiania polityki,

wybuch II wojny światowej, która szybko przekształciła się wojnę totalną, Holocaust, Katyń i Auschwitz. Warszawa to pierwsza ofiara Hitlera, miasto bombardowane już w 1939 roku na skalę przekraczającą wielokrotnie dramat hiszpańskiej Guerniki, miasto przez kilka tygodni broniące się przed najeźdźcą, potem miasto ulicznych egzekucji, tortur na Szucha, miasto największego getta okupowanej Europy i Umschlagplatzu. I wreszcie miasto powstania 1944 roku, gdzie przez pięć powstańczych dni na Woli eksterminowano 50 tysięcy ludzi. Mówimy nieprecyzyjnie „rzeź Woli”, tak jak „rzeź Humania”. To nie była „rzeź” Woli - to była zagłada Woli. To był największy pojedynczy akt eksterminacji, ludobójstwa, dokonany w czasie II wojny światowej przez Niemców na ludności innej niż żydowska. Potem znowu lata powojenne, opór, kolejne „polskie miesiące” lat 1956, 1968, 1976, 1980, wielki ruch Solidarności i Jan Paweł II, w końcu wreszcie upadek komunizmu w 1989 roku i narodziny wolnej Polski.

Kiedy zatem przywołujemy poszczególne epizody historycznego dramatu, który rozgrywał się tutaj w ciągu ostatnich ponad dwustu lat, nie chodzi nam o kolejny lament nad pasmem nieszczęść, tragedii i krzywd, które dotknęły ludzi żyjących gdzieś na przecięciu dziejowych wektorów kreślonych w Petersburgu, Berlinie czy Moskwie. Chodzi o trzeźwe uchwycenie skali tych wydarzeń, o prostą konstatację faktu, że ten dziejowy dramat narastał i rozgrywał się właśnie tutaj, w tej części Europy, na której rozpościerała się niegdyś nasza I Rzeczpospolita. Bo narastał on przecież od wieku XVIII, a kulminację znalazł właśnie w wieku XX, w epoce Katynia i Auschwitz.

„Gdzie zaszeregować Polaków?”

Jeśli pod takim kątem spojrzeć na naszą kulturę narodową ostatnich dwustukilkudziesięciu lat, można dostrzec, że Polacy chcieli dać wyraz doświadczeniu wzbierającej fali radykalnego zła, którą dostrzegali w sposobie, w jaki Berlin i Petersburg, wspierane przez Wiedeń, prowadziły politykę w tej części Europy. Ten ton daje się odczuć zarówno w literaturze konfederacji barskiej, jak i u Mickiewicza, Kraśńskiego, Sienkiewicza czy Żeromskiego - aż po Borowskiego, Miłosza i Herlinga-Grudzińskiego. Przyzwyczajeni jesteśmy do patrzenia na ten wątek jako na pasmo cierpień i heroizmu; sposobów dystansowania się od niego, autoironii nauczyliśmy się z kolei od Gombrowicza, Mrożka czy Wajdy. Zapominamy jednak o tym, że ten łańcuch wydarzeń posiadał także istotny wymiar uniwersalny, że ścierały się ze sobą siły, wartości i postawy ważne nie tylko w naszym lokalnym wymiarze, ale - jak pokazał wiek XX - także w wymiarze powszechnym. I zapominamy również często, że byliśmy nie tylko ofiarami tych wydarzeń, lecz także ich pełnoprawnymi uczestnikami.

W sierpniu 1944 roku w Paryżu Andrzej Bobkowski z bezsilną rozpaczą komentował w swoich "Szkicach piórkiem" wiadomości nadchodzące z Warszawy - w tym samym czasie, gdy stolica Francji czekała na zbliżające się czołgi amerykańskie, polska stolica znalazła się w śmiertelnym uścisku między Hitlerem i Stalinem. Bobkowski tak streszczał sens tej dziejowej pułapki: „Rosja, jak zawsze, nie chce tej Polski i takiej Polski, jaką ona sama chciałaby być. Niemcy i Rosjanie unicestwiają TO SAMO, są zgodni w unicestwieniu TEGO SAMEGO. Niemcy na pożegnanie, Rosjanie na powitanie”[1][2] (podkr. oryg. - D.G.). W tym jednym zdaniu kumuluje się cały sens nigdy do końca nie wyartykułowanego problemu - jest oczywiste dla nas, że Bobkowski używa do oddania swoich emocji wielkich liter, a przecież jednocześnie nie pisze wprost, na czym owo stale powracające „to samo” polega i w

obliczu czego Polacy są zawsze koniec końców osamotnieni. „To samo” - czyli stale powtarzająca się sytuacja graniczna, w której z całą mocą jak w złym śnie widać, że los Polski znajduje się w jakimś punkcie, gdzie możliwe jest tylko „albo-albo”, nie zwycięstwo lub klęska, lecz istnienie lub nieistnienie, w punkcie, gdzie widać, jak polski los migocze i chwieje się pod wpływem dynamicznego ruchu dziejów.

Może ktoś powiedzieć, że sytuacja „prześwitu ontologicznego” jest typowa dla małych narodów, szczególnie tych żyjących w naszej części Europy. Głosy takie często słyhać w różnych dyskusjach. Za każdym razem, gdy mowa o obronie naszych interesów, za wzór realizmu stawia się nam Czechów, pisze się o zapobiegliwości Bałtów czy o słowackiej roztropności, za sprawą której Słowacja wprowadziła euro wcześniej od nas. Małych narodów nie stać na gesty, powstania i bohaterszczyznę, nie stać na obronę „pierwiastka”, prawdziwe bezpieczeństwo energetyczne czy silną armię. Małe narody muszą być rozsądne, muszą ćwiczyć trudną sztukę mimikry, aby omijał je wzrok drapieżników historii. Przymuszone zaś do kapitulacji, zawsze potrafią obronić „substancję”, nazywając to koniecznym kompromisem, lub też słać zalety posiadania ciepłej wody w kranie, mówiąc o roztroprym liberalizmie.

Problem w tym, że Polacy nie są małym narodem. Nie chodzi tutaj o skalę naszych ambicji czy potrzeb, ale o fakty. Polskie przekleństwo polega na tym, że Polacy znajdują się gdzieś pośrodku, między narodami wielkimi a małymi. I nigdy nie będą tacy jak Czesi, Belgowie czy Litwini. Przywołajmy politycznie niepoprawne dzisiaj pojęcie z dyskursu dziewiętnastowiecznej historiografii - pojęcie narodu historycznego. Polacy byli i pozostają takim właśnie narodem, narodem, który przez setki lat miał własne państwo, własną kulturę

wysoką, tworzoną już od XVI wieku w języku narodowym, własne instytucje świeckie i kościelne, własne życie obywatelskie. To właśnie odróżnia nas nie tylko od Słowaków czy Rumunów, lecz także od Czechów czy Litwinów. Jedne z tych narodów przed XX wiekiem nigdy nie miały własnego państwa - jak Słowacy czy Łotysze, inne wprawdzie posiadały swe państwa, lecz utraciły je wraz z narodowymi elitami na setki lat przed narodowym odrodzeniem - jak Czesi czy Litwini. Sięgnijmy do obcego autora, bo trudno go przecież posądzić o stronniczość. Miroslav Hroch, wybitny czeski historyk, w pracy "Małe narody Europy" przedstawia rzetelną i pogłębioną typologię „małych narodów”, takich jak Baskowie, Białorusini, Bretończycy, Bułgarzy, Chorwaci, Czesi, Estończycy, Finowie, Flamandowie, Galicjanie, Grecy, Irlandczycy, Katalończycy, Litwini, Łotysze, Macedończycy, Norwedzy, Serbowie, Serbowie Łużyccy, Słowacy, Ukraińcy, Węgrzy i Walijszczy. Na końcu rozdziału omawiającego podstawowe założenia pracy umieszcza podrozdział *Ponad poziomem małego narodu albo: gdzie zaszeregować Polaków?*. Zwraca się przy tym do polskiego czytelnika, który - jak się domyśla - zadaje sobie pytanie, dlaczego w tym towarzystwie zabrakło Polaków, których walka z uciskiem narodowym w XIX wieku stanowiła wzorcowy przykład ruchu narodowego. Hroch udziela prostej odpowiedzi - przypadek polski nie pasuje do zbudowanej przez niego typologii małych narodów, ponieważ Polacy byli narodem państwowym, posiadali własną kulturę wysoką w języku narodowym oraz uformowaną elitę polityczną i narodową. Chociaż zatem, z powodu utraty państwa i konieczności walki o nie, znaleźli się w podobnej sytuacji, co wymienione wcześniej małe europejskie narody, to jednak ich położenie, jak zauważa Hroch, przypomina raczej położenie takich dużych narodów jak Włosi czy Niemcy. Zarówno Niemców, jak i Włochów dotyczył ten problem, że choć posiadali wysoką kulturę tworzoną w narodowym języku oraz wykształcone klasy wyższe, nigdy nie żyli w jednym państwie, dlatego też podstawowym celem działań każdego z tych dwóch narodów w wieku XIX było polityczne zjedno-

czenie. Oba też - z powodu innych okoliczności politycznych (silne Prusy oraz walka tylko z jednym wrogiem mocarstwem, czyli Austrią, w przypadku Włoch) - swój cel, cel zjednoczenia, osiągnęły wcześniej niż Polska. Uwaga Hrocha jest o tyle słuszna, że Polacy mieli własne państwo nieprzerwanie od czasów Mieszka I do trzeciego rozbioru (zaś własną armię regularną nawet trochę dłużej, bo od Mieszka do upadku powstania listopadowego), a choć je utracili, i tak przetrwała wspólnota polityczna Polaków - poczucie wspólnej tożsamości kulturowej, wspólnych interesów politycznych, świadomość solidarnego działania w nowych warunkach.

A jednak tylko nam przydarzyło się nieszczęście rozbiorów. Jako jedyny naród historyczny straciliśmy państwo - nawet Hiszpania czy Turcja, inne zdeponowane mocarstwa nowożytności, które nie odnalazły się w nowej rzeczywistości europejskiej Realpolitik wieku Oświecenia, nie przypłaciły okresu politycznego upadku utratą formalnej niepodległości (inna to kwestia, czy Hiszpania poradziłaby sobie lepiej od Polski, gdyby zamiast Atlantyku i Morza Śródziemnego miała za sąsiadów Prusy i Rosję). Pomijam tutaj kwestię dyskusji na temat przyczyn tego wydarzenia. Nie chodzi mi także o to, że rozbiory były krzywdą, niesprawiedliwością wołającą o pomstę do nieba - były, ale cóż to znaczy w logice wielkiej polityki. W przypadku rozbiorów chodzi raczej o trzeźwą ocenę tego wydarzenia jako pozostającego bez precedensu w nowożytnej historii Europy. Otóż to - bez precedensu. Od zawsze bowiem zdarzały się w Europie podboje i aneksje, granice zmieniano też przez szczęśliwe koligacje rodzinne - w tej kategorii nikt nie mógł równać się z domem Habsburgów. Jednak tym razem nie dzielono między siebie „ludności” znajdującej się we władaniu jakiejś historycznej rodziny książęcej, którą spotkała polityczna plajta, lecz dosłownie, bo taka przecież była litera konwencji rozbiorowych po 1795 roku, unicestwiano polityczny naród. To nie była krzywda - to był

skandal, to była drastyczna nieciągłość, której cofnięcie musiało stać się jednym z najważniejszych motywów polityki europejskiej na przyszłość. I tak trzeba postrzegać rozbiory: jako złowrogą zapowiedź nadciągającej przyszłości. Tak właśnie sprawę rozbiorów widziały niektóre najwybitniejsze umysły dziewiętnastowiecznej Europy. Przytoczmy choćby opinię Lorda Actona: „Aż dotąd żaden naród nie został pozbawiony bytu politycznego przez mocarstwa chrześcijańskie, a przy całym lekceważeniu uczuć i interesów narodowych starano się jednak maskować niesprawiedliwość fałszywą przykrywką jakichś prawnych chwytów. Ale rozbiór Polski był aktem bezwstydnego przemocy popełnionym nie tylko wbrew powszechnym odczuciom, ale wbrew prawu powszechnemu. Pierwszy to raz historia nowożytna ujrziała obalenie wielkiego państwa i podział żyjącego w jego granicach narodu między jego wrogów”[3].

„Chory człowiek” kontynentu

Mocarstwa dokonujące rozbiorów posługiwały się argumentem „równowagi”, balansowania interesów[4]. Tkwił w tym zarodek postrzegania każdorazowo odrodzonej Polski jako elementu „nierównowagi”, elementu dysfunkcyjnego. Przyzwyczajeni jesteśmy do opisywania rozbiorów jako procesu „wymazywania Polski z mapy Europy”. Nie o metafory jednak chodzi ani o alegoryczne obrazy, jak choćby ten ze sztychu Kołacz królewski Nicolasa Noela Le Mire’a, przedstawiającego alegorię pierwszego rozbioru, na którym załamany król Stanisław August łapie się za głowę (tyle tylko może zrobić król Polaków - zdobyć się na teatralny gest), a Fryderyk II, caryca Katarzyna i cesarz Józef II wskazują te kawałki z polskiego „tortu”, które biorą dla siebie; sztychu znanego każdemu polskiemu dziecku, bo od pokoleń reprodukuje się go w podręcznikach historii. Podkreślmy to raz jeszcze

- w 1795 roku Berlin, Petersburg i Wiedeń wyobrażały sobie, że Polaków i Polski już więcej nie będzie. Po prostu. Nieodwołalnie i na zawsze. Kolejne dwieście lat to uporczywa walka z tym skandalicznym błędem w ocenie realnej zdolności Polski do istnienia. Bo spośród narodów historycznych tylko Polakom zdarzyło się w czasach nowożytnych to, że stracili państwo i byt niepodległy, a w pewnych momentach swojej historii mogli nawet przestać istnieć fizycznie - a jednak Polska nie tylko przetrwała, lecz odradzała się ciągle na nowo. To nie jest dowód na wzruszające umiłowanie ojczyzny. To dowód na to, że ci, którzy sądzili, że lepiej byłoby dla nich, aby Polski nie było, mylili się w sposób skandaliczny; że byli ślepi na fakty i głusi na argumenty i choć zawsze potrafili swoją wolę uzasadnić w jakiś sposób, który w danym momencie historii uznawano za bardzo racjonalny, filozoficzny czy naukowy (ćwiczenie intelektualne, które brali na warsztat tak różni autorzy jak Wolter, Dostojewski czy Róża Luksemburg), to koniec końców okazywali się pogrążeni w odmętach tępego irracjonalizmu pozostającego na usługach jakiejś tyranii.

Jesteśmy zatem zawieszeni pomiędzy pierwszą a drugą ligą europejską - i to jest trwała sytuacja, a zarazem trwały nasz kłopot. Wynika to z faktu, że nie istnieliśmy jako państwo przez cały XIX wiek, kiedy w Europie ustalały się hierarchie w każdej dziedzinie - politycznej, militarnej, kulturowej. Pierwsze dwa wymiary historycznej rzeczywistości są oczywiste. Zastanówmy się nad wymiarem trzecim, biorąc pod uwagę kwestię nauki i jej zaplecza. Przez cały wiek XIX powstawały pewne kanony pisania o historii Europy, w których rozdawano trwałe role - jedne narody były swoistą awangardą historii, inne ponosiły zasłużone (w oczach zwycięzców) porażki. Budowano pojęcia badawcze, stawiano hipotezy, tworzone szkoły historyczne i socjologiczne, powstawały i rozwijały się tradycje intelektualne. W całym tym ogromnym procesie byliśmy obecni w niewielkim stopniu.

Jeśli w ogóle jakaś wiedza na temat Europy Środkowej zdobywała sobie trwałe miejsce w świadomości wykształconych Europejczyków, to była to wiedza kształtowana za pośrednictwem niemieckich, austriackich czy rosyjskich uczonych. To oni mieli katedry, uniwersytety, instytucje, które mogły być instytucjonalnymi partnerami dla uczonych ze świata. W pokoleniu romantyków jeszcze można było liczyć na wpływ błyskotliwych jednostek - wystarczy przypomnieć prelekcje paryskie Mickiewicza. W drugiej połowie XIX wieku sytuacja stała się już jednak dramatyczna - po wojnie francusko-pruskiej 1870 roku zmieniło się nastawienie opinii publicznej na Zachodzie do sprawy polskiej. Stało się tak przede wszystkim we Francji, która w Rosji widziała głównego potencjalnego sojusznika w nieuchronnym przyszłym starciu ze zjednoczonymi przez Bismarcka Niemcami. Dopiero II Rzeczpospolita zaczęła odrabiać straty pod tym względem, lecz - niestety - jej praca została przerwana - przez kolejny nawrót „tego samego”, o którym pisał Bobkowski. Okres PRL z przyczyn oczywistych także nie poprawił sytuacji w tym zakresie. Weźmy pierwszy z brzegu przykład - przez dziesięciolecia myłono Powstanie Warszawskie z powstaniem w getcie warszawskim, ponieważ państwo polskie, zamiast łożyć środki na rozwój historiografii, która mogłaby przekazywać wiedzę o walce stolicy w 1944 roku na cały świat, prześladowało policyjnymi metodami pamięć o tych wydarzeniach.

Po 1989 roku wysiłki w tej sferze idą opornie - albo jesteśmy spychani do rzędu krajów o wiele mniejszych, albo podejmujemy grę, żeby dostać się do klubu tych paru państw, które współtworzą kierunek Europy. A wielcy unijnej wspólnoty są do Polski w roli jednego z liderów Europy po prostu nieprzyzwyczajeni. Polska dostała czas - nie wiadomo, jak długi - na przekonanie wielkich europejskich graczy, że mamy prawo aspirować do roli ważnego, silnego kraju w tej części Europy. Ponieważ jednak przez ostatnie stulecia Polska jako podmiot polityczny

decydujący sam o sobie, samodzielnie określający swoje interesy i samodzielnie też ich broniący istniała w sumie tylko czterdzieści lat, zachodnie wielkie narody mają naturalną - i przyznajmy, z historycznej perspektywy całkiem zrozumiałą - skłonność do traktowania Polski jako elementu dysfunkcyjnego, niepasującego do porządku europejskiego, jeśli sam chce negocjować zasady swojego w nim udziału. Tak było już od końca XVII wieku, gdy ustalał się nowy ład Europy, z którego wypadały takie dawne potęgi jak Hiszpania, Turcja, Holandia czy Polska właśnie, a na scenę wchodziły Prusy i Rosja. Polska wtedy - na długo przed rozbiorami - stała się, niczym Turcja, „chorym człowiekiem” kontynentu, który „stał nierzędem”, był synonimem anachronicznego ustroju i byle jakiej cywilizacji. Z pewnością wad było wiele, ale też wiele musieli się napracować różni sprzedajni a błyskotliwi filozofowie wieku świateł w rodzaju Woltera, żeby stworzyć taki klimat intelektualny, w którym polityczna zbrodnia rozbiorów wydawała się tylko beznamietną egzekucją wyroku wydanego już wcześniej przez historię.

Tak samo było po I wojnie światowej, gdy dobrze znany od kilku pokoleń koncert europejskich mocarstw rozpadł się na kakofoniczny jazgot nowej Europy zbudowanej w oparciu o Wilsonowską zasadę samostanowienia narodów. W gronie sezonowych państw umieszczano także i to nad Wisłą, którego granice uznano za przesadnie rozciągnięte z krzywdą dla Niemców, Ukraińców, Litwinów i Białorusinów (tak jakby Polska mogła być wówczas Polską tylko w Warszawie, Krakowie i Radomiu). Ci nieznośni Polacy, którzy sami tyle opowiadali o swoich krzywdach, a którzy przecież tak bardzo krzywdzili wszystkie mniejszości dookoła... - ileż razy ten ton słychać było przed wojną. Tak, Europa funkcjonowałaby niczym dobrze naoliwiony mechanizm, gdyby nie kilka źle działających elementów - zdawano się sugerować.

Tak samo jest i teraz, po 1989 roku, gdy do dobrze znanego projektu europejskiego dołączyły państwa zza żelaznej kurtyny, w tym naczelnym *trouble maker* tego grona - Polska, która w kółko czegoś chce, okazuje niewdzięczność i wszystkich szantażuje swoją „historyczną wrażliwością” wynikającą z dawnych krzywd. Wrażliwi, ba! - nawet przewrażliwieni jesteśmy na pewno, jednak nie ma to nic do rzeczy, gdy trzeźwo ocenimy rozmiary naszego kraju, liczbę ludności, wielkość rynku wewnętrznego, skalę gospodarki. Jeśli tak spojrzeć na całą sprawę, widać, że Polska nie ma „wrażliwości” - Polska ma przede wszystkim interesy wynikające z jej skali oraz usytuowania. Interesy, które powinny być brane pod uwagę przez inne duże kraje europejskie, decydujące o polityce wewnątrz Unii. Bo właśnie o politykę tu przede wszystkim chodzi, o to, w jakim kierunku będzie ewoluował projekt europejski, jak będą płynąć w jego granicach strumienie zobowiązań i korzyści, jak będą budowane wspólne bezpieczeństwo i wspólny rozwój. Trzeba przy tym pamiętać, że uprawianie polityki to zajęcie zarezerwowane w ramach Unii dla najsilniejszych graczy, owych kilku państw tworzących nieformalny klub liderów Unii, swoisty - jak czasem określa się to grono - „dyrektoriat”. To oni przewodzą europejskiemu projektowi, inni - mniejsi i słabsi - raczej podążają w kierunku przez nich wytyczonym. W tym sensie polityka w Europie zarezerwowana jest dla najsilniejszych; reszcie pozostaje zarządzanie, dopasowywanie się do realiów, zażarta konkurencja, aby odnieść jak najwięcej korzyści. Prawda, te reguły są o niebo lepsze od tych, jakie funkcjonowały w wieku XVIII, XIX czy przez większość wieku XX. Silniejsi nie grożą słabszym ani najazdem, ani okupacją czy terytorialnymi podbojami. Czy znaczy to jednak, że polityka przestała już być obszarem rywalizacji, sporu, a nawet konfliktu? Powtórzmy: nie ma nic nienaturalnego w fakcie, że Polskę traktuje się jako element dysfunkcyjny tej sytuacji - przemawiają za tym ostatnie dwa stu-

lecia, w trakcie których istnienie państwa polskiego było raczej wyjątkiem niż regułą. Chodzi jednak o to, aby ten stan zmienić, aby nasi zachodni partnerzy przyzwyczaili się do myśli, że Polska powróciła i że ten fakt wymaga nie tyle naszego dopasowania do nich, ile dopasowania wzajemnego i wzajemnego wysiłku.

Niestety, wielu ludzi w Polsce nie jest przyzwyczajonych myśleć o naszym kraju w taki sposób. Znaczna część opiniotwórczych elit wyobraża sobie Polskę jako powiększone nieco Królestwo Kongresowe, kraj wielkości mniej więcej Czech lub Węgier, dla którego już samo zaproszenie do europejskiego klubu jest historyczną szansą. Ciągłe można bowiem spotkać u nas nie tylko publicystów, lecz także polityków, którzy każdą pomoc i każde dobrowolne ustępstwo Berlina czy Paryża (dobrowolne - czyli niebędące wynikiem negocjacji) przyjmują ze ściśniętym ze wzruszenia gardłem jako dowód łaskawości i pamięci. Tak jakby rozszerzenie Unii nie było dobrym interesem dla obu stron. Polska może - to prawda - zdefiniować samą siebie jako kraj mały, pozbawiony aspiracji do uczestnictwa w europejskim „dyrektoriacie”, może „podążać”, a nie „przewodzić” w ramach europejskiej rodziny narodów. Co więcej - może zostać za taki wybór również wynagrodzona. Wielkość projektu europejskiego polega na tym, że także „podążanie” za silniejszymi jest opłacalne. Chodzi jednak o skalę korzyści. Lepiej bowiem stanąć do rywalizacji o setki miliardów niż o dziesiątki, lepiej być „producentem” niż „odbiorcą” europejskiego projektu. Poza tym pozostaje jeszcze przedziwny polski niepokój, który każe pytać o bezpieczeństwo, o polskie usytuowanie w czasie i przestrzeni, za sprawą którego co jakiś czas wydarzają się tutaj rzeczy przekreślające wszelkie rachuby i racjonalne plany.

Przełomowy rok 1709

Powróćmy do problemu usytuowania Polski w czasie i przestrzeni. „Prześwit ontologiczny”, o którym wcześniej była mowa, nie sprowadza się w przypadku Polski do problemu istnienia czy posiadania własnego państwa, jak w przypadku małych narodów. Dochodzi tutaj czynnik dodatkowy, niewystępujący w przypadku Słowaków czy Łotyszy. Chodzi mianowicie o wyzwanie podmiotowości. Dla małego narodu istnienie jest już sukcesem historycznym; dla dużego, jak w przypadku Polaków, to dopiero pierwszy krok. Czesi czy Litwini mogli stracić język i własną kulturę w zasadzie niepostrzeżenie, dla nich odrodzenie narodowe przyszło niemalże w ostatniej chwili; w naszym przypadku brak państwa nie był śmiertelnym zagrożeniem dla języka i kultury, lecz przeszkodą w ich nieskrępowanym rozwoju - przecież Polaków trzeba by po prostu wszystkich pozabijać, żeby w Wigilię nie śpiewali kolęd (choć trzeba pamiętać, że zdarza nam się ocierać o próg zagłady - jak choćby podczas pierwszych dni Powstania Warszawskiego, gdy Niemcy zorganizowali ludobójstwo na Woli)! Każdy z trzech zaborców dostał tylko fragment całości, a i tak nawet te wielkie imperia nie były w stanie strawić swej zdobyczy przez ponad sto lat. Co prawda, jak powiedzieliśmy, w czasie ostatniej wojny Polacy otarli się o próg zagłady, ale przecież go nie przekroczyli. Owo ontologiczne migotanie istnienia i nieistnienia w przypadku Polski dotyczy zatem przede wszystkim polskiej polityczności, tego, że Polska może być podmiotem, lecz częściej bywa przedmiotem w szerszej skali europejskiej historii. Usytuowanie naszego kraju w czasie i przestrzeni jest zaś takie, że przecinają się tutaj nie tylko interesy mocarstw, lecz także - jak to nazwaliśmy - trudno uchwytnie, lecz stale wyczuwalne wektory potężnych sił kształtujących dramat dziejowy ostatnich stuleci. Aby radzić sobie w takim położeniu, nie wystarczy własne państwo, własna niepodległość - trzeba czegoś więcej: trzeba właśnie podmiotowości. Rozwińmy to pojęcie.

W polskim myśleniu o państwie i nowoczesności na ogół posługujemy się cezurą rozbiorów. Jest to perspektywa zbyt wąska. Nie pozwala ona dostrzec tego, że karta dziejowa, którą obecne pokolenie Polaków odwraca, nie zaczęła się w czasie rozbiorów, lecz w czasie wojny północnej. I momentem historycznym, do którego powinniśmy się odwoływać jako do groźnego *memento*, nie jest rok 1795, lecz 1709. Chodzi tutaj o bitwę pod Połtawą, po wygraniu której Rosja trwale zdominowała Polskę i cały region Europy Środkowo-Wschodniej. To dlatego Połtawa stanowi symboliczną cezurę w historii ostatnich trzystu lat. Doskonale rozumieją to Rosjanie. W zeszłym roku Władimir Putin sugerował ponoć Ukraińcom zorganizowanie wspólnych obchodów. Połtawa leży bowiem na terenie dzisiejszej Ukrainy, jednak Juszczenko woli, na szczęście, obchody bitwy pod Konotopem z 1659 roku - starcia, w którym hetman kozacki Iwan Wyhowski, wspomagany przez wojska polskie i tatarskie, rozgromił armię rosyjską dowodzoną przez księcia Trubeckiego. Rosjanie już uczynili świętem narodowym rocznicę wygnania Polaków z Kremla w 1612 roku; jak widać, nie zapomnieli zwycięstwa odniesionego przez Piotra Wielkiego nad Karolem XII. W tej rocznicy nie chodzi jednak o Szwedów, choć to oni przegrali w 1709 roku. Stawką w tej grze jest to, kto ułoży politycznie i cywilizacyjnie cały ten wielki obszar Europy, który rozpościera się między Polską a Rosją.

W naszych rozważaniach rok 1709 jest istotny dlatego, że symbolizuje moment utraty przez Polskę realnej podmiotowości politycznej. Używając tradycyjnego języka polityczności, można sens tego wydarzenia określić w ten sposób, iż Polska w wyniku wojny północnej utraciła tradycyjnie rozumianą suwerenność. Po wojnie północnej mieliśmy wprawdzie państwo formalnie niepodległe, nie mieliśmy jednak suwerenności, nie byliśmy już podmiotem politycznym, staliśmy

się przedmiotem w grze prowadzonej przez obcych. Próby odzyskania tej podmiotowości - dzieło pokolenia Sejmu Wielkiego i Konstytucji 3 maja - zakończyły się niepowodzeniem, czego konsekwencją był ostatni rozbiór z 1795 roku i utrata formalnej niepodległości. Warto zatem zapamiętać tę sekwencję: Polacy najpierw utracili podmiotowość, a potem dopiero niepodległość. Dopiero gdy w taki sposób spojrzymy na dynamikę wydarzeń XVIII wieku, we właściwym kontekście ukazuje nam się pytanie o naszą podmiotowość dzisiaj: w 1989 roku odzyskaliśmy bowiem niepodległość, ale czy wraz z niepodległością odzyskaliśmy podmiotowość?

Zanim spróbujemy odpowiedzieć na to pytanie, musimy poświęcić nieco uwagi wydarzeniom sprzed trzystu lat. Sama bitwa pod Połtawą i wojna północna to okres historyczny, który nie zadomowił się jakoś szczególnie w polskiej pamięci. Jeśli chodzi o wiek XVIII, dużo bardziej wyraziście rysuje się nam przed oczami epoka stanisławowska wraz ze swoim dramatycznym finałem w postaci konstytucji 1791 roku, Targowicy, wojny w jej obronie, powstania kościuszkowskiego i w końcu ostatniego rozbioru. Pierwszą połowę stulecia skrywa zaś mgła banału o „czasach saskich”. To jednak tam właśnie tkwią korzenie narodowej klęski. Wyliczmy symboliczne daty z końca XVII i początku XVIII wieku, w których streszcza się zapowiedź ponurej przyszłości. Rok 1696 - śmierć Sobieskiego, po której następuje długie, pełne chaosu i intryg bezkrólewie, zakończone wyniesieniem na tron Augusta II Mocnego w 1797 roku. Jego kontrkandydat, Francuz - książę Conti, dostał wprawdzie więcej głosów, ale Sas uzyskał poparcie Piotra Wielkiego. Z carem Rosji zaczął też paktować przeciwko Szwecji, snując plany zdobycia dla Wettinów - jako dziedzicznego lenna - Inflant. Do antyszwedzkiej koalicji weszły także Dania, Saksonia i Rosja. Rzeczpospolita formalnie miała pozostać neutralna. To założenie rychło legło jednak w gruzach, gdy młody Karol XII okazał się - ku

zaskoczeniu wszystkich - znakomitym wodzem. Pokonał Duńczyków, rozbił Rosjan pod Narwą (1700). Wkrótce wkroczył do - cały czas formalnie neutralnej - Rzeczypospolitej, zajmując Warszawę. Polska, choć oficjalnie nie była stroną w wojnie, stała się teatrem działań wojennych, cierpiąc zniszczenia, gwałty i rekwizycje, rujnujące i tak już przecież zrujnowany po serii wojen z drugiej połowy XVII wieku kraj. Szala zdaje się teraz przechylać na stronę Szwedów. Karol wysuwa własnego kandydata do tronu polskiego, Stanisława Leszczyńskiego, popartego przez konfederację warszawską. Zwolennicy Augusta zawiązują własną - w Sandomierzu, szukając wsparcia u cara rosyjskiego. Szwedzi przeprowadzają koronację Leszczyńskiego (sejm elekcyjny odbył się pod Warszawą w szwedzkim obozie wojskowym w roku 1705). August zrzeka się korony polskiej (1706). Przez cały ten czas trwa zarazem wojna partyzancka prowadzona przez zwolenników konfederacji sandomierskiej przeciwko Szwedom i przeciwko zwolennikom konfederacji warszawskiej - czyli de facto wojna domowa. Na północy Rzeczypospolitej operują wojska rosyjskie walczące ze Szwedami i Sasami. W kraju wzmaga się chaos i bezprawie. W 1708 roku wielka, czterdziestotysięczna armia szwedzka rusza na Rosję, a 8 lipca pod Połtawą zostaje ona całkowicie rozgromiona przez wojska rosyjskie pod wodzą Piotra Wielkiego i przestaje praktycznie istnieć. To jest punkt zwrotny całego konfliktu.

August Mocny swój powrót na tron zawdzięcza Rosji - traktując jako niebyłą swoją abdykację, powraca w 1709 roku do kraju, zawierając w Toruniu traktat z Piotrem I, w którym czyni go swoim rzeczywistym protektorem. Tę specjalną pozycję Rosji w sprawach polskich potwierdza sejm z 1717 roku, ten sam, na którym uchwalono zaciąg wojska koronnego na śmiesznym poziomie 24 tysięcy i na którym bezczelne ingerencje ambasadora Dołgorukiego stanowiły tylko wstęp do przyszłych wyczynów Repnina z czasów Poniatowskiego. Wojna

wprawdzie toczy się do 1721, kiedy to zostaje zawarty pokój w Nystad, jednak pokój ten przypieczętował tylko faktyczną hegemonię Rosji w rejonie Bałtyku i w Rzeczypospolitej.

Od tej pory Rzeczpospolita - formalnie niepodległa, posiadająca króla, sejm i senat, wojsko i monetę - staje się satelitą Rosji, w którym coraz większą rolę zaczynają odgrywać też intrygi pruskie (austriackie nie były nowością - dom rakuski intrygował tu już od stuleci). Dwa wydarzenia, które miały miejsce w cieniu wojny północnej, uzyskują w tej perspektywie wyjątkową wymowę: w 1701 roku, korzystając z chaosu wywołanego wojną, elektor brandenburski Fryderyk III koronuje się w Królewcu na króla jako Fryderyk I (dla zachowania pozorów jako „król w Prusach” a nie „król Prus”, bowiem ten drugi tytuł jest od 1466 roku oficjalnym tytułem króla Polski), zaś w roku 1703 rozpoczyna się na właśnie zdobytym dla Rosji wybrzeżu Bałtyku budowa Twierdzy Pietropawłowskiej - moment ten uznaje się za początek historii Petersburga (w twierdzy tej będzie w przyszłości więzionych wielu Polaków, między innymi Tadeusz Kościuszko). Dalsze dzieje - jak choćby narzucenie przez Petersburg Augusta III na tron polski w 1733 roku wbrew woli większości, która znów wybrała Leszczyńskiego, antyrosyjska konfederacja dzikowska z 1734 roku zawiązana w jego obronie (w jakiejś mierze prefiguracja konfederacji barskiej), rządy ambasadorów rosyjskich, przemarsze wojsk w czasie wojny siedmioletniej (choć oficjalnie Rzeczpospolita była neutralna), praktycznie stała obecność wojsk rosyjskich w kraju, wybór osobistego faworyta carycy Katarzyny, Poniatowskiego, na króla - układają się w logiczny ciąg wydarzeń prowadzących do nieuchronnego finału roku 1795.

O odzyskanie podmiotowości

Nie ma sensu kontynuować przeglądu tego pasma nieudolności, głupoty i cynizmu mieszającego się ze szczerym i trzeźwym patriotyzmem ludzi pokroju Konarskiego, Pułaskiego, Kołłątaja czy Staszica. Każdy Polak zna pojęcie Targowicy. Ten duch panował jednak już wcześniej. Dla oddania klimatu rosyjskiej dominacji wystarczy przytoczyć opis Jędrzeja Kitowicza dotyczący samowoli i gwałtów rosyjskich z lat sześćdziesiątych, gdy Repnin kazał porywać w Warszawie w biały dzień posłów i senatorów oraz zastraszał sejm: „książę Repnin, ambasador moskiewski, na każdej sesji sejmowej znajdując się na łoży, czyli chórkę senatorskiej izby, mocno tego przestrzegał, aby żadnych mów opornych woli imperatorowej jejmci, faworyzującej dysydemtom, nie wszczynano. I gdy pewny poseł począł się rozwodzić w mowie nad gwałtem (...) popełnionym (chodziło o bezprawne aresztowania - D.G.), posłał do niego Repnin dworzanina swego, Polaka Łabęckiego, z takim prawdziwie moskiewskim komplementem: *Słusz ty, Łabęcki, skaży ty temu posłu, nechaj tak mnogo nie gaworyt, bo wozmet w sraku w piwniczu*. Co ledwo Łabęcki pomienione- mu posłowi po cichu do ucha poszepnął, poseł natychmiast umilkł. A od niego inni sejmujący dowiedziawszy się przyczyny nagłego owego zamilczenia, wszyscy usta zamknęli, otwierając je szczególnie na potwierdzenie tego, co było od tronu, jako instrumentu moskiewskiego, proponowane”[5]. Tak rodziły się warunki wychowywania do oportunisty, tchórzostwa i zdrady, maskowanego realizmu czy zdrowym rozsądkiem w przypadku słabszych charakterów - owa szczególna atmosfera „pólniewoli”, o której pisał Władysław Konopczyński, dając portret czasów saskich w Polsce.

Rozbiory były traumą, która ukształtowała wszystkie następne pokolenia Polaków. Zarówno zwolennicy walki zbrojnej, jak i ci, którzy opowiadali się po stronie pokojowych metod pracy na rzecz narodowej

sprawy, pracowali dla jednego celu: dla odzyskania niepodległości. Podobnie myślano po 1944 roku. Komunizm był w tej perspektywie tylko kolejną wariacją na dobrze znany temat - obcej dominacji. Polska Ludowa nie była prawdziwą, wolną Polską, co najwyżej przypominała, jak sugerował to w Listopadowym wieczorze Andrzej Kijowski, Królestwo Kongresowe sprzed 1830 roku. Próbowano sobie z tym radzić poprzez reformy, pracę organiczną, przez propozycje odnowy duchowej i cywilizacyjnej, jakie złożyła pod koniec XIX wieku narodowa demokracja. Wacław Berent w swoim wielkim cyklu opowieści biograficznych, w którym przedstawił znakomity portret trzech pokoleń pracujących dla Polski poczynając od Sejmu Czteroletniego, a skończąc na powstaniu listopadowym - czyli przez okres ponad czterdziestu lat zawartych między rokiem 1788 a 1831 - dowodził, że Legiony i Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk były w istocie elementami tego samego wysiłku, tej samej pracy. Nie ma zatem w okresie po 1772 roku podziału na pracę organiczną i walkę zbrojną, podziału na romantyków i pozytywistów, jak uparcie uczą w szkołach. Te podziały zależały od okoliczności - patriotyzm był w obu przypadkach równie dobry, tak jak ten sam pozostawał cel. Różniono się w doborze środków. Każde jednak pokolenie - poczynając od pokolenia Konarskiego, Staszica, Kościuszki i Dąbrowskiego, przez wielkie pokolenie Piłsudskiego i Dmowskiego - spierało się o te sprawy gwałtownie, bo też wielka była stawka tych sporów: jak odzyskać niepodległy byt państwowy i jak przywrócić Polsce podmiotową rolę w europejskiej polityce?

Charakterystyczną cechą tych wewnętrznych debat był spór o modernizację. To jest nić przewodnia polskich sporów ostatnich bez mała trzystu lat. W początkach tego sporu widać istotną, choć pozorną sprzeczność - Polska utraciła niepodległość, ponieważ nie była krajem nowoczesnym, nie była zdolna do modernizacji; i zarazem Polska

utraciła niepodległość, ponieważ okazała się krajem zdolnym do modernizacji o własnych siłach. Z jednej bowiem strony kilkadziesiąt lat bezustannych wojen w pierwszej połowie wieku XVII, toczonych na własnym terytorium, zrujnowało kraj i przygotowało grunt pod apatię i cynizm czasów saskich - w okresie 1648-1699, kiedy to formalnie zakończono wojnę z Turcją, a Kamieniec Podolski wrócił po ponad ćwierćwieczu w granice Rzeczypospolitej. Trzy pokolenia bez ustanku walczyły z Kozakami, Moskwą, Szwedami, wojskami siedmiogrodzkimi, Tatarami, Turkami. Sam fakt, że Rzeczpospolita przetrwała te wszystkie wojny, jest na dobrą sprawę cudem. Ale przetrwała je w stanie bardzo złym, jak uczestnik maratonu pływackiego, który przeliczył się z siłami i omal nie utonął przy brzegu. Potem - gdy drapieżni sąsiedzi zaczęli się gwałtownie modernizować, w początkach XVIII wieku - nie było już sił ani ludzi o dostatecznie szerokich horyzontach, którzy potrafiliby kraj unowocześnić.

Z drugiej jednak strony rozbiory unicestwiły Rzeczpospolitą właśnie wtedy, gdy udowodniła, że jest w stanie modernizować się skutecznie. Konstytucja 3 maja przeraziła mocarstwa zaborcze nie tylko dlatego, że dość szybko dał się odczuć w Polsce duch rewolucyjnej Francji - a taki był ton absolutystycznej propagandy (tej samej, która - gdy trzeba było - po sprawie toruńskiej w 1724 roku trąbiła o tym, że Berlin czy Petersburg to gwaranci idei tolerancji - doprawdy, carstwo rosyjskie jako gwarant humanizmu i tolerancji to piękna myśl!). Ale w rzeczywistości chodziło o coś więcej - o projekt unowocześnienia kraju potencjalnie silnego. Sam projekt podniesienia liczebności armii do stu tysięcy (i tak skromny, jeśli się pamięta, że za lat kilkanaście Księstwo Warszawskie, dużo mniejsze od Polski w granicach z 1791 roku, wystawiło taką armię) zaniepokoił sąsiednie dwory, nie mówiąc już na przykład o projektach reformy miast i finansów, o których przestraszony ambasador pruski donosił Fryderykowi Wilhelmowi II w

Berlinie. Zagłada państwa polskiego została uknuta przez Berlin, Petersburg i Wiedeń jako akcja prewencyjna. Nie można było czekać - zwłaszcza w Berlinie - na to, że wzmocniona Polska, kraj z nowoczesną konstytucją, rozwijającymi się miastami i dwustu-, może trzystutysięczną armią, przypomni sobie o Gdańsku, Bydgoszczy i Elblągu. Dla Rosji silna Polska oznaczała wypchnięcie z polityki europejskiej. Dla Prus była to kwestia być albo nie być. Rzeczpospolita została zniszczona, bo udowodniła, że może być silna i nowoczesna. To dlatego - żeby zatrzeć w pamięci Europy ten fakt - historycy niemieccy i rosyjscy napisali w wieku XIX stopy uczonych rozpraw mówiących, że dawna Polska nie była zdolna do istnienia, że w gruncie rzeczy dobrze się stało, iż państwa rozbiorowe dokonały może surowej, ale sprawiedliwej egzekucji wyroku wydanego przez ducha dziejów. Jeśli już, to tylko pierwszy rozbiór był rzeczywiście karą za tępotę i słabość trzech pokoleń epoki saskiej. Ale rozbiory drugi i trzeci były już zbrodnią.

Pierwszy rozbiór spadł bowiem na państwo nie tylko słabe, lecz także intelektualnie bezradne i cywilizacyjnie zapóźnione. Wprawdzie cały czas było w nim dość szczerego patriotyzmu na dawną, republikańską modłę - czego dowody złożyła wcześniej konfederacja barska - ale sam republikański zapał to zbyt mało. Jednak już w konfederacji barskiej mieszało się stare z nowym: z jednej strony ryngrafy z Matką Boską, z drugiej - zapytania wysyłane przez Michała Wielhorskiego do Jana Jakuba Rousseau o sposoby reformy ustroju Rzeczypospolitej.

Tymczasem drugi i trzeci rozbiór brutalnie przerwały proces nie tylko formowania się nowoczesnego państwa, lecz także powstawania nowoczesnego narodu politycznego[6]. Było to owocem wytężonej pracy epoki stanisławowskiej, reformy edukacji - Komisji Edukacji

Narodowej, Szkoły Rycerskiej - ożywienia intelektualnego i gwałtownego rozwoju rodzimej wersji Oświecenia. Podkreślić właśnie trzeba - rodzimej. Polskie Oświecenie jest o tyle szczególne, że łączy wszystkie wątki charakterystyczne dla europejskiej myśli oświeceniowej z pewnymi cechami szczególnymi. Specyfika ta sprowadza się do kilku istotnych elementów. Chodzi w pierwszym rzędzie o jego republikański charakter - jak ukazała to w swojej znakomitej pracy Anna Grześkowiak-Krwawicz[7]. Republikański charakter polskiego Oświecenia wiąże się z kolejnym elementem - jego wymiarem obywatelskim. Za Jurgenem Habermasem zwykło się podkreślać, że nowoczesność powstała wraz z narodzinami publicznej sfery komunikacji. Istotą tej obserwacji jest prosta konstatacja: nowoczesna opinia publiczna w wieku XVIII rodziła się w krajach absolutystycznych. Musiała sobie wywalczyć prawo do istnienia gdzieś między sferą prywatną a sferą państwa, rozumianą jako domena państwowej biurokracji podlegającej absolutnemu władcy. Stąd rola salonu, kawiarni, stąd walka z cenzuralnymi ograniczeniami. Polski dyskurs obywatelski - żywioł, w którym w drugiej połowie XVIII wieku powstawało nowoczesne pojęcie narodu polskiego - funkcjonował odmiennie. Tu zawsze było więcej swobody, tutaj nie trzeba było szeptać na salonach czy drukować politycznych pamfletów za granicą. Tu były sejmy, sejmiki, tutaj od XVI wieku pamflet polityczny czy rozmowa na tematy polityczne w każdym miejscu i o każdym czasie stanowiły oczywisty element życia zbiorowego - i dlatego uwagi Kitowicza na temat wyczynów Repnina na sejmach są wyrazem oburzenia; polski autor nazywa tam skandalem ograniczenie praw Polaków, które w latach sześćdziesiątych XVIII wieku stanowiły nieosiągalne marzenie dla oświeconego Francuza. Naturalnie dotyczyło to wcześniej szlachty, jako narodu politycznego, ale właśnie w czasach stanisławowskich „naród polityczny” zaczyna obejmować także mieszczaństwo (pisał o tym, obok wspomnianego Berenta, choćby Władysław Smoleński) i zarazem wzbogaca się o nowy element: ro-

dzącą się inteligencję (jak pokazuje to Maciej Janowski w pierwszym tomie najnowszej historii inteligencji polskiej)[8]. Powstanie kościuszkowskie ukazuje siłę tego procesu - walczą w nim absolwenci Szkoły Rycerskiej, literaci stanisławowscy, chłopci spod Krakowa i rzemieślnicy z warszawskiego Starego Miasta. Kościuszko zaś nie zawiązuje konfederacji - jak konfederacja dzikowska, sandomierska czy barska, w duchu dawnego republikanizmu (którą w myśl staropolskiej procedury trzeba było wpisać do ksiąg grodzkich) - ale ogłasza „insurekcję”, przysięgając na rynku w Krakowie w marcu 1794 roku „Narodowi Polskiemu”, że powierzonej władzy nie użyje „na niczyj prywatny ucisk”, lecz dla obrony „całości granic, odzyskania samowładności Narodu” oraz „ugruntowania powszechnej wolności”.

Polski kształt Oświecenia

Warto przypomnieć te kwestie, dlatego że katastrofa trzeciego rozbioru spowodowała u Polaków rodzaj kompleksu - zacofanie to przecież sprawa wstydliva, a rozbiory były właśnie konsekwencją zacofania. Jednak powtórzmy to jeszcze raz: drugi i trzeci rozbiór były aktami prewencyjnymi, zapobiegającymi groźnemu dla ich autorów odrodzeniu podmiotowości Polski. Szkoła krakowska - wielka tradycja historiograficzna tworzona przez Waleriana Kalinkę, Michała Bobrzyńskiego czy Józefa Szujskiego, a upatrująca przyczyny upadku Rzeczypospolitej w wadliwym ustroju - ma zatem rację raczej w odniesieniu do pierwszego rozbioru. Jej konkurentka, szkoła warszawska - z takimi nazwiskami jak Władysław Smoleński, Tadeusz Korzon czy Adolf Pawiński - która twierdziła, że oprócz państwa ważnym podmiotem dziejów jest nowoczesny naród i że proces jego powstawania został tylko wyhamowany, lecz nie przerwany przez agresywnych zaborców, ma zaś rację w przypadku roku 1792 i 1795. Co

więcej - warto dostrzec, że Polska nie przegrała wtedy z narodami, których dystynktywną cechą była nowoczesność. Naszym wrogiem nie była bowiem ani Francja, ani tym bardziej Anglia, lecz trzy feudalne mocarstwa ze wschodniej części kontynentu, leżące przecież na wschód od „linii Łaby”, wyznaczającej granicę między protokapitalistycznym Zachodem a zacofanym, rolniczym Wschodem, linii z taką lubością przywoływanej w czasach PRL jako dowód na poślednią rolę naszego kraju w historii nowożytnej Europy. Berlin, Wiedeń i Petersburg też leżały „na wschód od Łaby”. Tak, kwitły tam sztuki i nauki, ale jako dodatki do absolutystycznych dworów. Nowoczesnego poczucia obywatelskiej wspólnoty, łączącej ludzi różnych stanów, było w Polsce Tadeusza Kościuszki, Jana Kilińskiego, Bartosza Głowackiego czy Stanisława Staszica więcej niż w Prusach Wschodnich Immanuela Kanta czy w Sankt Petersburgu Woltera i de Maistre’a. Czego zatem brakowało Polsce? Pieniądzy i armii - dwóch rzeczy, których nie brakowało absolutystycznym władcom. Nowoczesne państwo jako biurokratyczna struktura służąca do wyciskania podatków i wydawania ich na aparat przymusu i przemocy działający zgodnie ze strategią opracowaną wedle reguł racji stanu przez centrum decyzyjne - oto rozstrzygająca różnica między Rzeczpospolitą a jej sąsiadami. Kiedy tylko ci ostatni zorientowali się, że Polska może mieć taką samą strukturę wzmocnioną o element, którego im brakowało - nowoczesny naród polityczny, świadomy swej tożsamości i politycznych celów - skutecznie uderzyli, eliminując niechybne przyszłe zagrożenie dla własnych interesów.

Można czasem usłyszeć, że Konstytucja 3 maja nie była tak nowoczesna jak wielkie projekty fundujące ducha demokratycznej i liberalnej nowoczesności - amerykański i francuski. Chodzi o to, że polskiej konstytucji brakuje elementu uniwersalnych praw człowieka, obecnego zarówno w Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych z 1776

roku, jak i we francuskiej Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z roku 1789. To prawda, nasza konstytucja pozostawia stanowe społeczeństwo, wyraźnie stwierdzając, iż narodem politycznym we właściwym tego słowa znaczeniu jest szlachta (a i to szlachta-posesjonaci: konstytucja faktycznie odsuwała od polityki szlachtę nieposiadającą własnych majątków). Jednak rozszerzała prawa miast królewskich, wspominała także o chłopach-włościanach. Nie były to rozwiązania liberalne, a jednak przez wyraźne określenie zasad konstrukcji ustrojowej, wzmacniającej władzę wykonawczą, konstytucja stwarzała mechanizm do stopniowej reformy państwa w duchu konstytucjonalizmu (to też jeden z korzeni nowoczesnej tradycji demokratyczno-liberalnej) oraz do modernizacji struktury społecznej, do jej przyszłej demokratyzacji. Podkreślała przy tym - jak najbardziej w zgodzie z duchem nowoczesności - znaczenie majątku osobistego dla zdolności uczestnictwa w narodzie politycznym. Zarówno bowiem w stanie szlacheckim, jak i wśród mieszczan prawa miały przysługiwać właśnie posiadaczom majątków. Liczba obywateli czynnych politycznie, nawet po odjęciu praw politycznych szlachcie-gołocie, i tak przewyższała grupę aktywnych obywateli na przykład w liberalnej Anglii (powszechną demokrację próbowali wprowadzić jakobini w 1792 roku, jednak próba ta nie powiodła się, tak jak cały ich radykalny projekt rewolucyjny).

Należy jednocześnie pamiętać, że uniwersalne prawa deklarowane przez Amerykanów czy Francuzów operowały w ściśle określonych granicach - nie dotyczyły bowiem niewolników. Zarówno na plantacjach południowych stanów amerykańskich, jak i we francuskich koloniach czarni niewolnicy nie byli adresatami idei powszechnych praw człowieka. Aby stali się wolni, potrzeba było w przypadku Stanów Zjednoczonych krwawej wojny domowej. Casus Francji był bardziej skomplikowany - wprowadzie w 1794 roku rząd republiki zakazał handlu

niewolnikami i samej instytucji niewolnictwa, jednak Napoleon przywrócił ją w 1803 roku. Faktyczną wolność wywalczyli sobie niewolnicy na Haiti, którzy zbuntowali się w 1791 roku (niepodległość uzyskali w roku 1804). W koloniach francuskich zniesiono ostatecznie niewolnictwo w 1848 roku, w angielskich wcześniej, bo w roku 1833. Położenie chłopów pańszczyźnianych w Polsce końca XVIII wieku było złe, jednak i tak lepsze od sytuacji niewolników. Można założyć, że gdyby Rzeczpospolita istniała dalej, to sytuacja prawna chłopów poprawiłaby się dużo szybciej, niż miało to miejsce w przypadku regulacji wydawanych przez zaborców - dotyczy to przede wszystkim zaboru rosyjskiego, gdzie cała sprawa przeciągnęła się aż do lat sześćdziesiątych XIX wieku. Jak szybki prawdopodobnie byłby to proces, widać już w wydarzeniach z przełomu XVIII i XIX wieku. Konstytucja z 1791 roku brała chłopów pod opiekę państwa. Uniwersał połaniecki Kościuszki z 1794 roku zapewniał im wolność osobistą. Podczas powstania Kołłątaj pracował nad projektem ustawy nadającej ziemię tym spośród włościan, którzy walczyli w armii narodowej. Symbolicznym literackim wyrazem nastrojów oświeconego narodu politycznego jest końcowa scena z Pana Tadeusza - wszakże w XII księdze "Kochajmy się!" dowiadujemy się, że młodzi narzeczeni postanowili obdarzyć wolnością i uwłaszczyć chłopów w swoich majątkach. Charakterystyczna jest przy tym scena następująca już po rozmowie Tadeusza z Zosią, w trakcie której podejmują taką właśnie decyzję:

Tadeusz krzyknął: „Zdrowie Spółobywateli,

Wolnych, równych, Polaków!” - „Wnoszę Ludu zdrowie!”

Rzeki Dąbrowski; lud krzyknął: „Niech żyją Wodzowie,

Wiwat Wojsko, wiwat Lud, wiwat wszystkie Stany!”.

Mickiewicz ironizuje przy tym z uniwersalistycznej dogmatyki prawnonaturalnej:

Tylko Buchman radości podzielić nie raczył

Pochwalał projekt, lecz go rad by przeinaczył,

A naprzód komisją legalną wyznaczył

Która by- krótkość czasu była na zawadzie,

Że nie stało się zadość Buchmanowej radzie.

Duch oświeceniowego uniwersalizmu, choć niewyrażany wprost, był zatem i tak stale obecny w myśleniu o polityczności pokolenia przełomu XVIII i XIX wieku. Dość przeczytać preambułę do Ustawy Rządowej z 1791 roku: „Uznając, iż los nas wszystkich od ugruntowania

i udoskonalenia konstytucji narodowej jedynie zawisł, długim doświadczeniem poznawszy zadawnione rządu naszego wady, a chcąc korzystać z pory, w jakiej się Europa znajduje i z tej dogorywającej chwili, która nas samym sobie wróciła, wolni od hańbiących obcej przemocy nakazów ceniąc drożej nad życie, nad szczęśliwość osobistą, egzystencję polityczną, niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną narodu, którego los w ręce nasze jest powierzony, chcąc oraz na błogosławieństwo, na wdzięczność współczesnych i przyszłych pokoleń zasłużyć, mimo przeszkód, które w nas namiętności sprawować mogą, dla dobra powszechnego, dla ugruntowania wolności, dla ocalenia Ojczyzny naszej i jej granic, z największą stałością ducha niniejszą konstytucję uchwalamy i tę całkowicie za świętą, za niewzruszoną deklarujemy, dopóki by naród w czasie prawem przepisany wyraźną wolą swoją nie uznał potrzeby odmienienia w niej jakiego artykułu”[9].

Polskie Oświecenie wyróżniał także stosunek do religii. Rysem upodabniającym je do amerykańskiego i zarazem odróżniającym od francuskiego był brak pierwiastka silnego antyklerykalizmu. Konstytucja 3 maja zaczyna się od *Invocatio Dei*, religię katolicką ustanawia religią państwową i jednocześnie ogranicza dysydemtom dostęp do stanowisk ministerialnych (zarazem deklaruje wolność wyznania, choć zabrania konwersji z katolicyzmu na inne religie i wyznania). Należy jednak pamiętać, że o Bogu mówi się także w amerykańskiej deklaracji niepodległości. Polscy radykałowie po uchwaleniu własnej konstytucji udali się do stołecznej katedry świętego Jana nie po to, aby ją zdemolować - co przydarzyło się paryskiej katedrze Notre Dame, której wnętrze zniszczono, gdy w 1793 roku zamieniono ją na świątynię Rozumu - lecz po to, aby odśpiewać w niej uroczyste *Te Deum*.

W odniesieniu do XVIII wieku warto poczynić jeszcze jedną uwagę. Jest czymś uderzającym, że los Polski z tamtej epoki powtarza dzisiaj do pewnego stopnia Ukraina. Ten sąsiedni kraj leży między z jednej strony zimnym, egoistycznym racjonalizmem Zachodu, który opowiada sobie, że na Ukrainie jest chaos, że Ukraińcy nie potrafią sami załatwić swoich spraw, że niepodległa Ukraina nie pasuje do geopolitycznych konstrukcji, a z drugiej - despotycznym Wschodem. Fakt, że nie ma dziś odpowiednika agresywnego i przebiegłego, bezwzględnego Fryderyka Wielkiego. Ale zdepersonalizowana, zimna i egoistyczna struktura Zachodu, który potrafi używać rozumu tylko do tego, żeby na sto sposobów wytłumaczyć, że Ukraińcy nie potrafią wejść do Europy i na to nie zasługują - odgrywa w istocie podobną rolę. A na Wschodzie jest Rosja, jak zawsze despotyczna i zaborcza. Ukraina znajduje się dzisiaj w punkcie, w którym my byliśmy w XVIII wieku - i także od nas zależy, czy uniknie ona klęski, która stała się wtedy naszym udziałem.

Wyzwania współczesne

Powróćmy jednak do Polski i czasów współczesnych. Analogie do XVIII wieku nie mogą być naturalnie bezpośrednie. Nie grozi nam banalna i prosta powtórka z przeszłości - ani w postaci fizycznych rozbiorów, ani też w postaci totalnych, ludobójczych wojen znanych nam z minionego stulecia. Nie znaczy to jednak, że znikł element podwyższonego ryzyka, trwale wpisany w nasze usytuowanie w czasie i przestrzeni. Zresztą prawdopodobieństwo wojny, szczególnie po tym, jak Rosja zaatakowała Gruzję, nie wydaje się już tak niewyobrażalne jak jeszcze kilka lat temu. Nie byłaby to jednak wojna na ogromną skalę, z milionowymi armiami, tysiącami czołgów i trwałą brutalną okupacją, mającą na celu eksterminację lub zabór terytorium. Wyobraźmy sobie raczej nagły i

krótki atak - w dwie doby rosyjskie wojska dochodzą do Nowego Dworu Mazowieckiego albo Mińska Mazowieckiego, tam stają i zaczynają się dyplomatyczne targi. Rosyjski minister spraw zagranicznych jedzie do Brukseli albo do Berlina (Niemcy naturalnie od razu podjęły się misji rozjemczej), administracja amerykańska wszystko zwała na nas (za słabo się broniliśmy i wszystko tak szybko się potoczyło, że nie ma sensu wysłać wojsk, a przy tym trzeba z Rosją współpracować w sprawie Iranu czy w Afganistanie), opinia publiczna w Europie wyraża wprawdzie oburzenie, ale sporo też głosów zwraca uwagę, że rusofobiczni Polacy też nie są bez winy... itd., itp. Cała sprawa nie kończy się ani aneksją Warmii i Mazur do Obwodu Kaliningradzkiego, ani też pojawieniem się na warszawskich ulicach napisów po rosyjsku. Niby nic strasznego się nie dzieje, tylko wszystko jest jakoś inaczej. Do tego gaz zdrożał absurdalnie i paru ludzi o niewyparzonych językach musiało emigrować.

Prawdopodobieństwo takiego rozwoju wypadków jest ciągle bliskie zeru, ale już nie zerowe. Chodzi o to, aby zrozumieć względną słabość Polski - słabość militarną oraz słabość państwa jako struktury zapewniającej bezpieczeństwo. Kolejne rządy dyskutują nad reformą wojska, obiecują armię zawodową, posyłają żołnierzy na misje pokojowe i dalekie wojny - i tylko brakuje wyraźnej świadomości opinii publicznej, że Polska znajduje się w zupełnie innej sytuacji niż Portugalia, Belgia czy nawet Niemcy, bowiem graniczy z ostatnią realną dyktaturą na kontynencie: Białorusią Łukaszenki, która pozostaje w militarnym sojuszu z Putinowską Rosją, posiadającą tuż obok nas największą morsko-lądową bazę militarną świata, czyli Obwód Kaliningradzki. Naszym problemem w kwestii bezpieczeństwa nie jest zatem przekształcanie armii w korpus ekspedycyjny przygotowany do pełnienia zadań w ramach misji zagranicznych NATO, lecz posiadanie sił zbrojnych zdolnych do obrony własnego terytorium. To, co wydaje

się czystą abstrakcją dla Hiszpanów czy Włochów, koniecznością znaną już tylko z podręczników historii, dla nas jest rzeczą absolutnie podstawową. Powtórzmy: czy po dwudziestu latach niepodległości sprawa ta jest jasna dla opinii publicznej i dla polityków? Chyba nie do końca - żeby się o tym przekonać, wystarczy choćby pobieżny rzut oka na dyslokację polskich jednostek zmotoryzowanych i pancernych. Między Warszawą a Kaliningradem jest tylko 16. Pomorska Dywizja Zmotoryzowana, rozrzucona pomiędzy Braniewem, Elblągiem a Giżyckiem. Od Warszawy do granicy białoruskiej nie ma zaś nic (dopiero w Wesołej pod Warszawą stacjonuje 1. Brygada Pancerna - *nomen omen* imienia Tadeusza Kościuszki; *notabene* obecny rząd wspominał o ewentualnych planach jej likwidacji). Gros sił stacjonuje, tak jak w czasach PRL, nad zachodnią granicą - w pasie strategicznego rozwinięcia wojsk Układu Warszawskiego, dokładnie jak za czasów, gdy myślano w Moskwie o ataku na kapitalistyczny Zachód. Kiedy wszyscy cieszą się z zapowiedzi wprowadzenia armii zawodowej - bo to takie nowoczesne i poboru już nie będzie - jedyne głosy krytyczne dotyczą kosztów. W debatach nie pada zbyt często kwestia podstawowa: armię dopasowuje się do istniejących zagrożeń, a nie do abstrakcyjnych norm nowoczesności. Jeśli przyjdzie moment realnej próby - oby nie przyszedł nigdy - będziemy mogli, jak zawsze zresztą, liczyć tylko na siebie, będziemy musieli bronić się przez kilka dni sami, aby dać dogodną pozycję dla dyplomatycznych targów naszym sojusznikom lub aby zmusić Amerykę do udzielenia choćby symbolicznej pomocy. Z pewnością bowiem nie mamy co liczyć na bohaterские czyny belgijskich czołgistów pod Olsztynem albo portugalskich spadochroniarzy pod Ciechanowem czy Mławą (niemiecka armia w najlepszym razie podejmie się funkcji rozjemczych na linii zawieszenia broni, gdy będzie już po wszystkim). Armia gruzińska w 2008 roku walczyła faktycznie tylko dobę, może trochę dłużej, potem po prostu porzuciła stanowiska i to, co z niej zostało, przyczało się w stolicy, czekając zmiłowania świata. Dlaczego zatem w polskich debatach nie pojawia się z całą

mocą postulat uzupełnienia projektu budowy armii zawodowej o komponent silnych wojsk obrony terytorialnej kraju - wojsk, trzeba dodać, cały czas korzystających z masowego przeszkolenia obywateli? Te sprawy nie powinny zajmować tylko fachowców, ekspertów od spraw militarnych, lecz powinny stanowić element wiedzy uczestników szeroko rozumianych debat publicznych. Po prostu tego wymaga nasze usytuowanie w czasie i przestrzeni. Od kosztów uzawodowienia armii ważniejszym tematem wydaje się oszacowanie kosztów przeniesienia choćby dwóch brygad kawalerii pancernej na Podlasie lub Mazury, zbudowania tam koszar, domów dla kadry, parków technicznych itd. To sprawa o kluczowym znaczeniu w naszych warunkach.

Bezpieczeństwo zewnętrzne to rzecz fundamentalna, jednak nie wyczerpuje ono kwestii podmiotowości. Jak zostało już wcześniej powiedziane, choć prawdopodobieństwo zbrojnego konfliktu w przyszłości nie jest już niewyobrażalne, to jednak ciągle nie ono stanowi podstawowe wyzwanie, przed jakim stoimy. Podmiotowość należy rozumieć szerzej i odnosić do stanu państwa i narodu w konkretnych okolicznościach, a więc przede wszystkim w czasach narastającego, globalnego kryzysu finansowego i gospodarczego, kryzysu dotychczasowego modelu integracji europejskiej oraz zachodnich struktur bezpieczeństwa. Należy przy tym pamiętać o pierwotnym znaczeniu pojęcia kryzysu - Grecy używali czasownika *krino* w znaczeniu: dzielić, wybierać, decydować, osądzać; w zwrotnej wersji zaś: mierzyć się, walczyć z czymś. Kryzys zatem to tyle co nieodwołalne, ostateczne rozstrzygnięcie. W hipokratejskiej szkole medycznej mówiono o krytycznej fazie choroby, w trakcie której toczyła się rozstrzygająca walka między życiem a śmiercią[10]. Kryzys jest zatem zagrożeniem, ale i szansą; oznacza zachwianie się dotychczasowego stanu rzeczy, ale też otwiera perspektywy dla nowego ładu. Podmiotowość pozwala obronić się przed zagrożeniami i jednocześnie

dostarcza instrumentów niezbędnych do wykorzystania szansy. Słabi i niezdolni do odgrywania podmiotowej roli tracą na kryzysie. Silni wygrają, zajmując lepsze pozycje w nowym, wyłaniającym się dopiero z kryzysu, porządku.

Powróćmy zatem na koniec do naszego punktu wyjścia, do Połtawy i 1709 roku. Współczesne pokolenie Polaków stanęło przed szansą zamknięcia na zawsze karty dziejowej, która została rozpoczęta dokładnie trzysta lat temu. Chodzi o odzyskanie przez Polskę realnej podmiotowości, utraconej na początku XVIII wieku. W 1989 roku odzyskaliśmy - jak się nam zdaje, na trwałe - niepodległość. Wierzymy, że przekreślając ostatecznie przekleństwo rozbiorów - cel, który nie powiódł się pokoleniu II Rzeczypospolitej, zmiażdżonej przez dwa totalitaryzmy - daliśmy trwałe podstawy przyszłości naszego kraju. A jednak odzyskanie formalnej niepodległości to nie koniec wysiłku, lecz tylko pierwszy krok, który musi być uzupełniony o krok następny - właśnie o zyskanie podmiotowości. Chodzi o odwrócenie logiki XVIII wieku. Z premedytacją nie mówię przy tym o suwerenności, bo to słowo jest dziś również cokolwiek dwuznaczne; mówi się, że państwa, które wchodzą w skład skomplikowanych struktur międzynarodowych, nie mogą być suwerenne w ten sposób, w jaki suwerenne były państwa wchodzące w skład systemu, który istniał po 1648 roku, tak zwanego systemu westfalskiego. Dodatkowo suwerenność jest pojęciem prawnym, określa formalne ramy funkcjonowania państwa. Tymczasem idzie o to, aby formalną suwerenność napełnić faktyczną, realną treścią polityczności. Samo posiadanie niepodległego państwa nie rozwiązuje problemu. Oznacza to bowiem powrót do stanu rzeczy, który istniał także w momencie rozbiorów. Jak pokazuje przykład pokolenia Sejmu Wielkiego, Królestwa Kongresowego i warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, można reformować kraj nawet nie posiadając państwa. Tylko że owoce tych reform bez posiadania podmiotowości zawsze będą

zmarnowane. Podmiotowość można zachować będąc również członkiem Unii Europejskiej czy wspólnoty atlantyckiej, jeżeli się umie grać, jak mówi profesor Jadwiga Staniszkis, w sferze rzeczywistości „sieciorowej”. Ale musi ona zostać przez Polskę utrzymana, żeby modernizacja i nowoczesność służyły celom polskim. W przeciwnym razie to wszystko, co jest procesem cywilizacyjnym, będzie obsługiwało obce cele.

Kluczowe wydaje się tutaj pojęcie modernizacji. Sens lekcji XVIII wieku sprowadza się do tego, że umiejętność przyswajania nowoczesności rozstrzyga o przyszłości wspólnoty politycznej, usytuowanej w czasie i przestrzeni w taki właśnie sposób jak Polska. W Polsce od trzech wieków toczy się - by przywołać tytuł głośnej swego czasu książki Jerzego Jedlickiego - dyskusja poszukująca odpowiedzi na pytanie: jakiej cywilizacji potrzebują Polacy? Spór o nowoczesność w polskich warunkach nie sprowadza się jednak tylko do dyskusji o meandrach procesów cywilizacyjnych. To nie jest dyskusja ekspertów - to jest dyskusja obywateli. Wyzwanie modernizacji nieuchronnie posiada bowiem w naszych warunkach - znów: pamiętajmy o czasie i przestrzeni - wymiar obywatelski, wymiar polityczny. Jan Pietrzak śpiewał w czasach pierwszej Solidarności piosenkę Żeby Polska była Polską, piosenkę, która pełniła wtedy funkcję niemalże drugiego hymnu narodowego. Parafrazując jej słowa, można powiedzieć, że stawką polskich sporów o nowoczesność jest właśnie ten na pozór enigmatyczny i niejasny cel: żeby Polska była Polską. Co to znaczy? W tej wieloznacznej, zdawałoby się, frazie zawiera się marzenie o Polsce silnej, zasobnej, niepodległej; o kraju, który jest w stanie zaktualizować swój ukryty i niewykorzystany potencjał.

Polacy muszą stworzyć silne państwo, żeby Polska już nigdy nie była „Chrystusem narodów”. Nam się cierpienia znudziły i nie potrzebujemy ich już więcej. Piłsudskiego projekt Polski silnej rodził się z buntu nie tyle przeciwko naszemu mazgajstwu, ile raczej przeciwko skandalowi, jakim jest polska słabość.

Bo słabość Polski przez te ostatnie dwieście lat jest z tej perspektywy skandalem, z powodu którego każdego dobrego Polaka powinien trafiać szlag. Nie trzeba bowiem aż tak wiele, aby zaktualizować - używając arystotelesowskich określeń - polski potencjał, jako że potencjalnie Polacy są sporym narodem. Tylko nie potrafią tego zaktualizować. I w każdym kolejnym pokoleniu kłócimy się o to, dlaczego Polska pozostaje poniżej swoich możliwości. To jest pytanie, które stale powraca w polskich sporach.

Polski problem polega na tym, że nie umiemy przytrzymać mocy. Działa w nas zawsze republikańska dialektyka: jesteśmy w stanie stworzyć wspaniałe konfederacje, które zwalczą zakusy budowy absolutum dominium albo przeciwstawiają się wrogowi, który nam zagraża, ale zaraz potem rozjeżdżamy się do domów. Chwile obywatelskiej mobilizacji są krótkie. I nie potrafimy zbudować mechanizmów państwowych, które pracowałyby wytrwale przez pokolenia. Takich, jakie zostały zbudowane w zachodnich społeczeństwach na fundamentach położonych przez reżimy absolutystyczne i później przez dziewiętnastowieczną demokrację liberalną. Jak przytrzymać moc? Z premedytacją używam tego nieco nieprecyzyjnego słowa, żeby nie używać słowa „siła”, które w polskim języku jest dwuznaczne, bo odwołuje się także do przemocy. Nie chodzi o to, żeby nad kimś dominować czy koncentrować się na środkach

przemocy fizycznej. Warunkiem rozwoju polskiej cywilizacji jest to, żeby polskie państwo i polska gospodarka były mocne. Jesteśmy bowiem tak usytuowani w czasie i przestrzeni, że gdy nie mamy mocnego państwa i silnej gospodarki, to najpierw nie mamy państwa, a potem nie mamy też cywilizacji. I za polskie podatki, wypracowane w polskiej gospodarce przez kilka pokoleń, buduje się gmachy publiczne w Petersburgu czy Berlinie, jak w XIX wieku, a w Warszawie w tym samym czasie nie można założyć nawet towarzystwa wioślarskiego.

Obecny kryzys finansowy ukazuje w całej jaskrawości właśnie gospodarczy i cywilizacyjny wymiar podmiotowości. Spekulacyjne ataki na złotówkę prowadzone przez takie giganty jak nowojorski bank Goldman Sachs, drastyczne ograniczanie kredytowania krajowego biznesu przez lokalne oddziały zachodnich banków spowodowane poleceniami wydawanymi przez centrale w Londynie czy Brukseli, znaczące zwiększenie dywidend wypracowanych tutaj, a transferowanych na zachód, protekcyjnistyczne pomysły ogłaszane w Paryżu, a wymierzone na przykład w polski przemysł motoryzacyjny - wszystkie te nowe wydarzenia są wielką lekcją podmiotowości dla nowej klasy średniej, która pojawiła się w Polsce po 1989 roku i która z neoficką żarliwością uwierzyła w reguły globalnego kapitalizmu. Wolny, globalny rynek to sfera rywalizacji, w której sprawne państwo stanowi instrument o zasadniczym znaczeniu dla ochrony interesów gospodarczych. Można mieć wszystkie atrybuty niepodległego państwa - ambasady, armię (nie za silną), ministerstwa i znaczki pocztowe - a w momencie kryzysu energetycznego być zmuszonym do ogrzewania lotniska w stolicy kraju koksownikami albo do zamykania szkół, jak przydarzyło się to ostatnio Bułgarii; można przez lata czerpać korzyści z nadymanego coraz bardziej balonu finansowych spekulacji, a jednak prędzej czy później stanąć przed widmem bankructwa - jak przydarzyło się z kolei Islandii. Kilka lat temu wymowni apostołowie deregulacji

wszystkiego, co się da, i totalnego neoliberalizowania za wzór dla Polski stawiali bałtyckie tygrysy. Gdzie dzisiaj jest Łotwa? Aby uniknąć takiego losu, potrzeba właśnie podmiotowości - silnego państwa, konkurencyjnej gospodarki, sprawnej armii, zręcznej dyplomacji i świadomych rzeczywistości środowisk opiniotwórczych: mediów, świata nauki i ekspertów.

Wykorzystać szansę

Powie ktoś - bagatela! W polskich warunkach to marzenie ściętej głowy. Jak gospodarka mocna, to państwo słabe, do słabej armii i marnej dyplomacji dodać trzeba opinię publiczną, która zawsze pochłonięta jest drugorzędnymi tematami, i media, które abdykowały dobrowolnie z rozumu, zawsze gotowe walkę o „pierwiastek” nazwać „potrząśaniem szabelką”, za to teatralną, rozpaczliwą próbę zablokowania Eriki Steinbach przez Władysława Bartoszewskiego - próbę, która stanowi przyznanie się do faktycznej porażki w sporze z Niemcami - odtrąbić jako „wielki sukces”.

Stąd są u nas także rozsądni ludzie, którzy to wszystko widzą, ale wnioski wyciągają zupełnie odmienne - Polski po prostu nie stać na podmiotowość. Nasze usytuowanie w czasie i przestrzeni to przekleństwo, a nie szansa i wyzwanie; przekonało się o tym najlepsze pokolenie, jakie było w historii Polski - pokolenie Piłsudskiego, które zbudowało II Rzeczpospolitą, i wychowane przez nie pokolenie Kolumbów - pokolenie Armii Krajowej i Powstania Warszawskiego. Takie wysiłki koniec końców idą na marne, więc lepiej schować się w mysiej dziurze, przeczekać, zyskać na czasie, cieszyć się z rzeczy małych - choćby z tego, że ciepła woda leci z kranu, jak proponuje nam ostatnio

„Dziennik”. Problem w tym, że Polska, o czym była już mowa, nie może zachowywać się tak jak małe kraje. Polska nie zmieści się w mysiej dziurze, bo po prostu jest za duża; może wprawdzie jak struś schować głowę w piasek, ale potencjalny drapieżca i tak ją wypatrzy, bo całą resztę będzie doskonale widać. Zresztą po co w zasadzie mamy zyskać na czasie? Po co mamy porzucić myśl o budowie podmiotowości? Czyżby za dwadzieścia lat nastał świat bez zagrożeń? Wolne żarty. Prędzej okaże się za te dwadzieścia lat, że oto właśnie zemściły się dzisiejsze zaniechania. Z drugiej strony jest także wielu, którzy uważają, że nie sposób pogodzić „mocy” z wolnością; tych, którzy sądzą, że każdy projekt budowy realnej podmiotowości zagraża idei demokracji i praw człowieka. Konfederacka, republikańska natura naszego patriotyzmu to tyleż błogosławieństwo, co przekleństwo. W czasach zagrożeń jest ona źródłem gotowości do poświęceń na skalę nieznaną innym narodom; w czasach reformy, kiedy trzeba wykorzystać szansę, staje się przeszkodą, bo wszędzie wietrzy groźbę absolutum dominium. Stąd niechęć do zdecydowanego, konsekwentnego działania. Wystarczy przypomnieć sobie, jakie zdziwienie pomieszane ze złością wywołał Jarosław Marek Rymkiewicz swoją intelektualną prowokacją, jaką był tom Wieszanie, aby zrozumieć, że to postawa ciągle, niestety, u nas żywa.

Wszystkie nasze wielkie spory po 1989 roku - spory o lustrację, o stosunek do PRL, o transformację - powinny być widziane właśnie z tej perspektywy. Spór o modernizację jest bowiem sporem o to, jak zbudować Polskę zamożną, cywilizacyjnie rozwiniętą - to oczywiste. Jednak ukrytym, podświadomym fundamentem tych wszystkich sporów jest przekonanie o tym, że Polacy powinni zbudować swoje niepodległe państwo tak, aby rozwiązać problem, którego od 1709 roku nie potrafiło rozwiązać żadne polskie pokolenie, nawet mogące pochwalić się największym sukcesem pokolenie II Rzeczypospolitej, czyli pokolenie

Dmowskiego i Piłsudskiego - zbudowane przez nie państwo przetrwało tylko dwie dekady. Jak przywrócić Polsce wewnętrzną moc i pozycję pozwalającą na bezpieczny rozwój w przyszłości? Jest to pytanie palące, bowiem gdzieś w świadomości każdego przytomnego Polaka tkwi pytanie: ile mamy jeszcze czasu? To jest pytanie, które zadaje sobie każde kolejne pokolenie od XVIII wieku. Czy zostało nam jeszcze dziesięć lat, dwadzieścia czy pięćdziesiąt, czy zostało nam jedno pokolenie, dwa czy trzy?

Bo nauzką, jaką Polacy wyciągnęli z dziejów od 1709 roku, jest to, że w określonym czasie i przestrzeni historia prędzej czy później organizuje sesję egzaminacyjną i odpytuje z tego, co zostało przyswojone. I biada tym, którzy lekcji nie odrobili. Być może jest to polski fatalizm, być może polska przesada, ale to jeden z podstawowych elementów myślenia Polaków o polityce i historii.

I to jest ukryta dynamika naszego sporu po 1989 roku. Z jednej strony są bowiem ludzie, którzy uważają, że po 1989 roku uzyskaliśmy wszystko, co można było, bo mamy instytucje niepodległego państwa. Z drugiej strony są ci, którzy od czasów „wojny na górze” mówili, że potrzebne jest przyspieszenie, drugi krok (w różnych momentach różnie bywało to nazywane), którzy zakładają, że niepodległość była pierwszym koniecznym krokiem, który musi być uzupełniony o drugi. Zdawało się po aferze Rywina, że spór ten został rozstrzygnięty na rzecz działania. Wybory 2005 roku przyniosły zwycięstwo sił politycznych, które zapowiadały działanie na rzecz budowy realnej podmiotowości. A jednak wszystkie nadzieje na realną zmianę przepadły w szaleńczej mentalnej wojnie domowej „rokoszan” z „konfederatami”, bo tak można określić Platformę Obywatelską i PiS. Przepadł „pierwiastek”, przepadła „tarcza”, nastął kryzys, rozumiany

znów, jak to u nas, jako zagrożenie, a nie szansa. A czas - ten czas, który na ogół nie jest dla nas zbyt łaskawy - nieubłaganie mija. Ile jeszcze go mamy?

Dariusz Gawin

Tekst pochodzi z 5. numeru rocznika Teologii Politycznej pt. "Złoty Róg, czyli nieodzyskana podmiotowość"

[1] A. Bobkowski, Szkice piórkiem, Warszawa 1988, s. 425.

[2] M. Hroch, Małe narody Europy. Perspektywa historyczna, tłum. G. Pańko, Wrocław-Warszawa-Kraków 2003, s. 75 i n.

[3] Lord Acton, O narodzie, [w:] tegoż, Historia wolności. Wybór esejów, wybór i wstęp P. Śpiewak, tłum. A. Branny, A. Gowin, P. Śpiewak, Kraków 1995, s. 105.

[4] Najpełniejszą rekonstrukcję motywów mocarstw rozbiorowych dał w swej fundamentalnej pracy amerykański historyk Robert H. Lord-zob.: R.H. Lord, Drugi rozbiór Polski, tłum. A. Jaraczewski, Warszawa 1973.

[5] J. Kitowicz, Pamiętniki, czyli Historia polska, oprac. i wstęp P. Matuszewska, Warszawa 2005, s. 67 i n.

[6] Pisał o tym Andrzej Walicki, zob.: A. Walicki, Idea narodu w polskiej myśli oświeceniowej, Warszawa 2000.

[7] A. Grześkokwiak-Krwawicz, Regina Libertas. Wolność w polskiej myśli politycznej XVIII wieku, Gdańsk 2006.

[8] Por. Dzieje inteligencji polskiej do roku 1918, a. 1: M. Janowski, Narodziny inteligencji (1750~1831), Warszawa 2008.

[9] W. Witkowski, Pierwsze konstytucje nowożytne, Lublin 1995, s. 56.

[10] R. Koselleck, Kilka problemów z dziejów pojęcia „kryzys”, [w:] O kryzysie. Rozmowy w Castel Gandolfo, oprac. K. Michalski, Warszawa 1990, s. 60.